

29 stycznia 1933 r.

ZYCIE

— BEZPŁATNY —
NAUKOWO — POPULARNY
ILUSTROWANY DODATEK,
GŁOSU NARODU

Najnowsze prądy w dziedzinie medycyny społecznej

Co to jest heljoterapia? — 36 klinik w Leysin — Praca w sanatorium dla chorych gruźlików

Szwajcaria, jak wiadomo, stała się dziś nie tylko ośrodkiem ruchu turystycznego, w szczególności „alpinistycznego”, ale jednocześnie zdobyła światowy rozgłos dzięki swym wysokogórskim stacjom klimatyczno-leczniczym. Davos, Arosa, Montana-Vermała oraz Leysin znane są powszechnie, zarówno w Europie, jak i poza Europą, jako uzdrowiska dla chorych na płuca. Dość wspomnieć, że np. w Davos Anglja utworzyła konsulata i tylko celem roztoczenia opieki nad swymi obywatelami, którzy tu przybywają w celach leczniczych.

Z tych wszystkich miejscowości wyróżnia się atoli Leysin pod dwoma względami. Raz dlatego, że jest to miejscowość urządzona i przystosowana tylko dla chorych. Niema tam, tak, jak gdzieindziej, hoteli i pensjonatów dla osób zdrowych, szukających wypoczynku w klimacie wysokogórskim. Niema tu ani jednego domu, któryby ogłaszał, że „nie przyjmuje chorych”.

A następnie wyróżnia się Leysin szczególnymi wskazaniami lekarskimi: tutaj leczy się w pierwszym rzędzie nie gruźlicę płuc (choć są i sanatoria dla takich chorych), lecz t. zw. gruźlicę chirurgiczną, t. j. gruźlicę kości.

Dzięki swemu korzystnemu położeniu i warunkom klimatycznym (Leysin leży w Alpach „Vaudoises”, powyżej Aigle, a jego terytorjum sięga do stóp Tours d’Ai, Mayen i Famelou), w szczególności dzięki korzystnym warunkom nasłonecznienia, Leysin już b. wcześniej zwróciło na siebie uwagę świata lekarskiego. I tak, już z początkiem XIX w. lekarz Bezenueet z Aigle wysyła tam dzieci rachityczne i skrofaliczne, a jego syn, także chorych na suchoty. Początkowo umieszczano chorych u chłopów, w warunkach zupełnie prymitywnych, i dopiero w r. 1873 otwarty został pierwszy pensjonat (tylko na okres letni!) W r. 1886 zainteresowali się tą miejscowością profesorowie wydziału lekarskiego Uniwersytetu w Lozannie, L. Secrétax i Ed. de Cérenville, wypracowując projekt utworzenia w Leysin stacji klimatycznej; w r. 1890 zawiązane zostało stowarzyszenie dla tego celu (*Société de la Station climatérique de Leysin*), a w r. 1892 otwarto pierwsze sanatorium „Grand-Hotel” dla chorych na płuca. Od tego czasu rozpoczął się szybki rozwój Leysin. Dzisiejszą sławę zyskała ta miejscowość dzięki przybyłemu tam w r. 1903 doktorowi Rollier, który założył wówczas pierwszą klinikę dla systematycznego leczenia gruźlicy kości zapomocą słońca.

Doktor August Rollier, profesor h. c. Uniwersytetu w Lozannie, były asystent sławnego profesora Kochoa w Bernie, idąc śladami szkoły lyońskiej i jej chirurgów, Bonnet i Poncet, później zaś Bernharda z Samaden i Spenglera z Davos, oddał się szczególnym badaniom nad znaczeniem terapeutycznym powietrza i słońca, w szczególności w klimacie wysokogórskim, przy leczeniu schorzeń gruźliczych. Gdy jednak poprzednicy stosowali takie leczenie jedynie w odniesieniu do schorzonego miejsca, prof. Rollier kierował się odmienną zasadą. Wychojąc z założenia, że t. zw. gruźlica zewnętrzna lub chirurgiczna nie jest tylko chorobą czysto miejscową (lokalną), dotykającą tej czy innej części ciała, lecz, że jest to choroba ogólna, przenikająca cały organizm, doszedł do logicznego wniosku, że rów-

nież leczenie musi się rozciągać na całość organizmu, a nie tylko na pewien, bezpośrednio zagrożony organ. Z drugiej zaś strony opierając się na badaniach Spenglera i własnych, ustalili korzystne działanie kąpiei powietrznych i słonecznych w wypadkach tego rodzaju schorzeń. Stąd uznał t. zw. heljoterapię, czyli systematyczne leczenie zapomocą powietrza i słońca, za najbardziej racjonalny sposób leczenia tych chorób. I bezwątpienia, jeżeli dziś heljoterapia zdobywa coraz większe uznanie w świecie lekarskim, to nie mała zasługa doktora Rollier.

Dziś prowadzi dr. Rollier w Leysin trzydzieści sześć klinik. Są tam chorzy z całego świata. Gdy zapytawalem d-ra Rollier, jak często sam widzi pacjenta, odparł, że nie częściej, jak raz na piętnaście dni; ma jednak dobrze wyszkolony i zupełnie pewny personel sanitarny, w szczególności asystentów, na których może w zupełności polegać. Niemal każdego dnia przyjeżdżają do Leysin lekarze z różnych stron świata, którym Rollier prezentuje chorych i przedstawia wyniki leczenia. Wyniki te mają być wprost zadziwiające: najcięższe wypadki, w których już tylko zabieg chirurgiczny mógł przynieść ulgę, ulegają całkowitemu, radykalnemu wyleczeniu; eczenie trwa tu na ogół długo, przeciętnie, gdy chodzi o gruźlicę kończyn, około półtora roku, chorzy umieszczeni są na werandach i terasach i tam, w skromnym przyodzieciu, spędzają często całą dobę. Przeważnie w szwasty opaleni, medziani; czytają książki, piszą listy, spoglądają w piękne, błękitne niebo lub na pasmo otaczających gór, kobiety haftują — i w ten sposób mijają dzień za dniem. Ale mają nadzieję, że kiedyś nadejdzie ta chwila, kiedy opuszczą Leysin zdrowi, o własnych siłach, zdolni do pracy.

W r. 1910 dr. Rollier otworzył w pobliżu Leysin, w Cergnat, pierwsze „Preventorium” słoneczne „Les Noisetiers” dla dzieci słabowitych i skłon-

nych do tego rodzaju schorzeń. Twierdzi, że nic lepiej, jak heljoterapia, nie jest w stanie uodpornić i zahamować organizmu.

Często się słyszy, że leczenie w Szwajcarii wogóle, a w Leysin w szczególności jest dostępne tylko dla ludzi bardzo zamożnych. Mam wrażenie, że, choć w części, nie jest to słuszne. Kliniki w Leysin przystosowane są do warunków finansowych nie tylko ludzi bogatych. Poza sanatorjami najbardziej luksusowymi, w których całodziennie utrzymanie z leczeniem kosztuje około 20 franków szwajcarskich (około 35 zł.), są t. zw. *cliniques populaires*, gdzie ogół wydatków dziennych wynosi około 7 franków (11 — 12 zł.). Ale doktor Rollier, nie tylko znakomity lekarz, lecz również socjolog o wielkim sercu, pomyślał również i o tych, co wogóle nie są w stanie płacić za życie i leczenie. I dla nich to właśnie stworzył wspaniałe sanatorium, pod nazwą *Maison de Manufacture* („Internationale Klinik-Werkstätte”). Rzecz faktycznie nie tylko godna widzenia, ale godna i podziwu.

Dnia 1 lutego 1930 otwarte zostało monumentalne, z wielkim luksusem wystawione, we wszelkie najnowsze urządzenia wyposażone sanatorium, w którym chorzy, niezamożni, od 18 lat, sami zarabiają na utrzymanie i leczenie. Może ono pomieścić 120 chorych obojga płci. Przyjmowani są chorzy bez względu na narodowość. Sanatorium to jest w ten sposób urządzone i zorganizowane, że chorzy w czasie naswietlania słonecznego mogą wykonywać zajęcia różnego rodzaju i w ten sposób zarabiać na swoje utrzymanie. Te zajęcia polegają na różnego rodzaju robotach mechanicznych, jak: wyrabianiu zabawek, tkactwie, hafciarstwie, koszykarstwie i t. d. Dla ułatwienia mają chorzy do dyspozycji małe, nadające się do przenoszenia, motory elektryczne i maszyny, które z łatwością mogą być przymocowane do

specjalnych, w tym celu urządzonych łózek. Określenie i przydział pracy następuje w zależności od kwalifikacji, zamiłowania i stanu choroby pacjenta. Zarobek dzienny chorego wynosi przeciętnie około 5 franków, koszt utrzymania i leczenia zaś wynoszą dla obywateli szwajcarskich 7 i pół fr., dla cudzoziemców 8.25 fr. Obecnie dr. Rollier myśli o tem, by i te opłaty jeszcze obniżyć, jeżeli tylko pozwolą na to koszty, związane z założeniem tego zakładu (koszta wyniosły około 2 milionów fr. szwajc., dotąd pokryto około miliona fr. szw.).

To połączenie leczenia słońcem i pracą — objaśnia dr. Rollier, — leczenie, które zawsze pozostaje pod ścisłym nadzorem lekarskim, ma potrójne znaczenie terapeutyczne: 1) fizyczne, 2) duchowe i 3) gospodarcze. I w rzeczywistości może być uważane za najlepsze rozwiązanie tak zatrwającego problemu traktowania i przyszłości niezamożnych osób dotkniętych gruźlicą. W szczególności, gdy chodzi o ich przyszłość, prof. Rollier w części swojej kliniki zaprojektował urządzenie szkoły handlowej, w której młodzi ludzie mogliby pobierać naukę w czasie leczenia, a następnie otrzymać dyplom. W ten sposób, po wyleczeniu, mogliby zaraz ubiegać się o posady, bez straty czasu wskutek choroby. Temu samemu celowi służą również kursa wieczorowe języków.

W swojej niedawno ogłoszonej pracy (*Die Internationale Klinik-Werkstätte für Sonnen-und Arbeitskur der unbemittelten „chirurgisch“ Tuberkulösen*) pisze prof. Rollier, że od tego zakładu wyciekuje jeszcze czegoś więcej. Chciałby, ażeby się stała ośrodkiem duchowego wychowania! Chciałby, aby przez współżycie i współpracę chorych różnych narodowości i religij spotężniała idea solidarności międzynarodowej, oparta na zasadzie Chrystusowej miłości bliźniego.

Prof. uniw. Dr. S. G.

Wpływ poczwarek much na gojenie się ran ropiejących

Już Paré (XVI wiek), a później i Larrey (w okresie wojen Napoleońskich) zauważyli wybitnie dodatni wpływ poczwarek much w ranach ropiejących na gojenie się tych ran. Poczwarki te współdziałały w oczyszczaniu się ran z tkanek obumarłych, pobudzały wydatnie proces ziarninowania i skracały w ten sposób znacznie okres gojenia się ran. Zabójczo działały na nie: wywar z czosnku, ruty lub szaflwji.

Podobne spostrzeżenia poczynili chirurdzy amerykańscy w czasie wojny europejskiej (zwłaszcza co się tyczy złamań otwartych i powikłanych zapaleniem szpiku kostnego). W okresie powojennym jeden z nich, Bear z Baltimore, podał nawet metodę leczenia przewlekłego zapalenia szpiku kostnego przy użyciu poczwarek much; jego zaś następcy (Livingston) metodę tę szczegółowo opracowali.

Do doświadczeń na zwierzętach a następnie do prób klinicznych, używano poczwarek muchy zielonkawej (*caliphora crythocephala*), którą się spotyka jako taką tylko przez kilka mie-

sięcy letnich, dlatego też trzeba było przystąpić do sztucznej hodowli odnośnych poczwarek, co przeprowadzono na b. dużą skalę i z powodzeniem. Okres życia poczwarek tych trwa wszystkiego 5 — 6 dni, poczem przechodzą one w okres kokonu, z którego rozwija się mucha po mniej więcej 14 dniach. Jajeczka, używane do hodowli poczwarek, są uprzednio wyjalawiane przez godzinę w roztworze sublimatu 1:100, zawierającym dodatek alkoholu 95% w stosunku 25% do całości, poczem zostają one przeniesione aseptycznie na płytki agarowe względnie plasterki mięsa wołowego, na których wzrastają do chwili przesadzenia na ranę.

Po operacji (typowej np. dla przewlekłego zapalenia szpiku kostnego) ranę wykłada się gazą na 48 godzin dla zatamowania krwawienia, przy pierwszym zaś opatrunku gazę usuwa się, ranę przemywa się obficie roztworem fizjologicznym soli i na powierzchni rany układa się poczwarki 48-godzinne w liczbie, odpowiadającej wielkości tej powierzchni, poczem ranę wystawia

się na działanie światła na przeciąg 2—3 godzin, aby zmusić poczwarki do skrycia się w zagłębienia i uchyłki rany. Ranę przykrywa się kilkoma warstwami gazy, którą przylepia się do brzegów skóry przyklepcem. Opatrunek taki zmienia się, zależnie od ciężkości zakażenia, co 3 — 5 dni, dotąd, dopóki cała rana nie pokryje się żywoczerwoną jędrną ziarniną.

Działanie lecznicze poczwarek tłumaczy się tutaj nietylko pożeraniem przez nie (*flagocytózą*) drobnoustrojów i tkanek obumarłych, ale także zmianą odczynu chemicznego środowiska rany, a zwłaszcza wydzieleniem przez poczwarki pewnej swoistej substancji, która będąc sztucznie wydobytą z ciała poczwarek okazała się bardzo zbliżoną w swym działaniu do bakteriofagu. Zastosowanie poczwarek w leczeniu ran zakażonych i ran po operacji wskutek zapalenia szpiku kostnego dało wybitnie dobre wyniki, jak tego dowodzą bogate statystyki licznych autorów amerykańskich, przyczem leczenie to nie przedstawia żadnego ryzyka ani niebezpieczeństwa dla chorych. (*Polska Stomatologia nr. 1*).

„Dom Polski” w Jerozolimie

Niema na świecie skrawka ziemi bardziej drogiego sercu każdego katolika, jak Ziemia św. Tu przecież dokonały się tajemnice naszego odkupienia, tu narodził się i umarł nasz Zbawiciel. W ciągu wielu wieków ze wszystkich krańców świata ciągnęły i ciągną ku tej ziemi nieprzemijające tłumy pielgrzymów, aby zwiedzić Nazaret, Betleem, Jerozolimę.

Ruch pielgrzymi do Ziemi świętej wzmógł się w ostatnich dziesięcioleciach. Kiedy bowiem dawniej udawano się do krainy Chrystusa pojedynczo lub w małych grupach, pod koniec ubiegłego stulecia przysłał się zwyczaj urządzania kilka razy do roku nasonych pielgrzymek. Organizowaniem tych t. zw. narodowych pielgrzymek zajmowały się w różnych krajach specjalnie w tym celu powołane towarzystwa. Dzięki ich zabiegom stały w Jerozolimie wspaniałe hospicja narodowe, w których pątnicy bywają podejmowani.

Polska, jęcząc pod jarzmem zaborców, nie mogła pomyśleć o stworzeniu własnego hospicjum. Bolało to O. Bielaka, Franciszkanina ze zakonu „Braci Mniejszych”, który przybył porokiem 1863 do Jerozolimy. Dzielny ten zakonnik postanowił stworzyć w Mieście św. schronisko dla swoich rodaków. W tym celu zwrócił się do kraju po ofiarę. Wnet udało mu się zebrać na schronisko polskie 9000 franków. Za sumę tę kupił w Starem Mieście niewielki dom. Niedługo potem jednak O. Bielak został przeniesiony do Krakowa. Schronisko polskie straciło tym samym swojego opiekuna. W kilka lat później domek ten przeszedł na wyłączną własność OO. Franciszkanów w Jerozolimie.

I Polska nie posiadałaby aż po dzień dzisiejszy żadnej własności w Ziemi św., gdyby ks. Pinciurek nie był ufundował „Domu Polskiego”.

S. p. ks. kanonik Pinciurek pochodził z Lubelszczyzny. Do Ziemi św. przybył w roku 1904. Niedługo po swoim przybyciu do Jerozolimy postanowił ufundować ognisko dla pątników polskich. Nie lekając się trudów, zwraca się niezmordowany kapłan po ofiarę do rodaków w Polsce i Ameryce. W roku 1908 już przystępuje do kupna obecnego „Domu Polskiego”.

„Dom Polski” znajduje się w północno-zachodniej części Starego Miasta. W t. zw. dzielnicy chrześcijańskiej stoi on na wzgórzu. Stąd jego mieszkańcy mają piękny widok na Górę Oliwną, dolinę Józefata, meczet Omara, Drogę Krzyżową, Bramę damasceńską. Dom sam jest niewielki, piętrowy. Na parter składają się miły dziedziniec, mała kapliczka, jadalnia

i dwa pokoje. Na piętrze mieści się siedem pokojów gościnnych i łazienka. To wszystko. W porównaniu z hospicjami innych narodów, „Dom Polski” jest bardzo skromny. Myśl ta dręczyła ustawicznie jego fundatora. Dla tego w roku 1922 udaje się do Stanów Zjednoczonych A. P., aby zebrać fundusze na powiększenie swego dzieła. Z tej wyprawy wraca w roku 1925 przywożąc ze sobą kilka tysięcy dolarów. Jednakże zdrowie mu nie dopisuje. Przekazuje więc w roku 1926 „Dom Polski” oraz zebrane przez siebie na jego powiększenie fundusze Ks. Prymasowi. Do końca życia marzy o rozbudowie swego dzieła. Niestety, nieubłagana śmierć przerwała w dniu 6 czerwca 1930 roku pasmo życia zacnego kapłana i dobrego obywatela.

Ze śmiercią s. p. ks. Pinciurka rozpoczyna się drugi rozdział historii „Domu Polskiego”. Ks. Prymasowi idzie bowiem o to, aby hospicjum polskie oddawało rzeczywiste usługi pielgrzymom. Dlatego przysłał w listopadzie 1930 roku do Jerozolimy ks. szambelana Trockiego z poleceniem, aby zajął się remontem „Domu Polskiego”. Mimo dokonanych zmian „Dom Polski” dopraszał się o dalsze jeszcze ulepszenia. Ks. Prymas zgodził się chętnie na nie, powierzając ich zaprowadzenie Siostrze ze Zgromadzenia św. Elżbiety. Odtąd „Dom Polski” nabiera rozgłosu. W Jerozolimie najwięcej już wszystkie urzędy i instytucje publiczne. Powoli zajmują się nim najwyższe nawet koła kościelne i świeckie. W maju 1931 roku „Dom Polski” gościł w swych murach ks. Arcybiskupa Nowowiejskiego z Płocka, w czerwcu zaś samego Patriarchę Jerozolimskiego oraz Delegata Apostolskiego na Palestynę i Egipt. Ze świeckich dostoj-

ników odwiedzają hospicjum polskie takie osobistości jak dyrektor departamentu finansów przy rządzie państwa państw obcych w Jerozolimie. Słowem „Dom Polski” wyrobił sobie dobre imię wśród wszystkich sfer.

Do tego przyczynił się w niemałym stopniu Konsul Generalny R. i w Jerozolimie. Będąc świadkiem tego, że „Dom Polski” jest jedyną ostoją polskości w Ziemi św., p. Konsul Dr. Kurlikowski ma dobro jego stale na oku. Świadczy o tem choćby ten fakt, że na jego zarządzenie odbywają się z okazji świąt narodowych uroczyste obżęźstwa nie gdzie indziej jak w kapliczce „Domu Polskiego”.

Powoli wieści o „Domu Polskim” docierają do rodaków w kraju i zagranicą. Odtąd coraz częściej pielgrzymi polscy, przybywający do Miasta św., lokują się w „Domu Polskim”. Od roku 1931 spora już liczba rodaków korzysta z jego gościnności. Wśród nich możnaby wymienić kilka wpływowych osobistości. Nawet kilkunastu pątników innych narodowości znalazło w nim gościnę. Wszystkich zaś podejmowano z równą serdecznością. To też księga pamiątkowa „Domu Polskiego” jest pełna pochwał.

Mała kolonijka polska jest bardzo przywiązana do „Domu Polskiego”. Nie może ona doczekać się tej chwili, w której stanie nowe, godniejsze naszego imienia, hospicjum. Żadne tłumaczenia nie potrafią przekonać naszych rodaków, że obecnie za trudne są czasy, ażeby móc myśleć o wybudowaniu nowego hospicjum. Jeden z nich ma odpowiedź gotową na każdą trudność. Krzyż? Oto bierze do ręki prasę polską i czyta dobitnym

głosem, ile — mimo kryzysu — wpływa składek na ołtarz św. Antoniego i kaplicę franciszkańską przy mającej (niewiadomo kiedy) stać bazylice Zwiastowania w Nazaret. Zdaniem naszego rezolutnego redaktora i Rząd Polski nie odmówiłby swej pomocy z tej prostej przyczyny, że chodzi mu o to, aby Polska godnie była reprezentowana w Jerozolimie, gdzie dotąd zajmuje miejsce na szarym końcu.

Wartoby doprawdy pomyśleć o nowym dla pielgrzymów naszych hospicjum. Zarząd „Domu Polskiego” przyjmuje każdą — najmniejszą nawet — ofiarę z wdzięcznym sercem. Składki przysyłać można, albo bezpośrednio do Jerozolimy (adres: „Dom Polski” Jerozolimie, P. O. B. 277, Palestine), albo też do kancelarii ks. Prymasa (P. K. O. 211.625) w Poznaniu (Ostrów Tumski) z dopiskiem: „Na Dom Polski w Jerozolimie”.

Wszystkie dzienniki zaś, które chcą się przyczynić do tego dzieła, uważają się o przedruk niniejszego apelu i otwarcie swych rubryk na powyższy cel.

X. W. G.

Automat, zamyka przejazdy kolejowe

Elektrotechnik włoskich kolei państwowych, Bertarini i mechanik Medini skonstruowali specjalny aparat, zamykający automatycznie przejazdy poprzez tor kolejowy.

Aparat ten, polegający na zasadzie hydro-mechaniczno-pneumatycznej, działa wskutek naporu pociągu na szyny na pewnej odległości od przejazdu. Odnacza się on niewielkim kosztem oraz skutecznością działania. Po przejściu pociągu aparat automatycznie otwiera przejazd.

Włoskie koleje państwowe zastosowały na próbę nowy wynalazek na 3 przejazdach.

Fotografie plastyczne

Inżynier włoski, Wiktor Storti, z Casamaggiore, wynalazł aparat, dzięki któremu wykonywa zdjęcia fotograficzne w płaskorzeźbie.

Storti miał także dokonać szeregu zadawalających prób z innym aparatem, nazwanym przezeń foto-rzeźbiarzem, dzięki któremu reprodukuje plastycznie jakkolwiek przedmiot w glinie, plastelinie i innych podobnych materiałach plastycznych.



Kto radja słuchamą pogodę ducha!

TO SPRAWIA
IDEALNY KOMPLET ODBIORCZY
DETEFON
I
AMPLIFON

Cena Detefonu zł. 39.-, Amplifonu zł. 125.-

Do nabycia w Warszawie w Wyd. „DETEFON” Zielna 30, w sklepie firmy Krzysztof Bruo i Syn, Marszałkowska róg Senkiewicza i we wszystkich Urzędach Poczтовых.

A. OLDERMAN.

Spełniona przepowiednia

Charakterystycznym objawem było, że ludzie prości, chłopci z Grodzieniszczyny, z pod Siedlec i Suwałk i t. d. bez żadnego gadania, na pierwsze przemówienie oddawali wszystko co mieli do wspólnego kotła, a t. zwanej inteligencji trzeba było bardzo ostro grozić odebraniem siła, dopiero raczyli się dzielić, narzekając, że mają dość bolszewickiej wspólnoty i rekwizycji, że uzurpuję sobie władzę (dopiero się teraz spostrzegli), że rząd powinien był o tem myśleć i t. p.

Tych co szli po drzewo i wodę ostrzegłem, ażeby nie zbliżali się do sowieckiej granicy, gdyż bolszewicy mogą kogo postrzelić, jak mnie uprzedził nasz posterunkowy żołnierz.

Pamiętaliśmy i o Panu Bogu i, w pośrodku obozowiska, między dwoma brzoźkami, ustawiliśmy ołtarz ze stołków i desek; kobiety powyciągały chusty i dywaniki z łomoków; dzieci narwały dzikiego kwiecica; lucerny, lwich pyszczków i kocich łapek; znalazły się i krzyż i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i świece, a ksiądz z

pod Augustowa, który jechał z nami jako więzień, wydobyl sutannę i komżę i odprawił solenne nabożeństwo. Potem były płomiennie mowy, śpiewaliśmy „Boże coś Polskę” i „Jeszcze Polska nie zginęła” i — znowu łzy radości płynęły po twarzach. I modlili się razem i katolicy i prawosławni i nawet żydzi, których nie brak było w eszelonie, a Bóg błogosławił promieniami zachodzącego słońca ten tysiąc ludzi, wyrzuconych gdzieś na nieznaną kawałek lasu o kilkadziesiąt kroków od krwiożerczej bolszewickiej bandy.

Potem nakarmiono dzieci; jeszcze raz ostrzegłem wszystkich, ażeby nie zbliżano się do granicy; wystawiliśmy posterunki uzbrojone w kije naokoło obozowiska, i piękny wieczór z wolna przechodził w jeszcze piękniejszą noc czerwcową. „Gdzieś daleko cierkały derkacze.

Już o zmroku, o 9 wieczorem, przyjechał do nas drezyną porucznik M. Był to oficer z kordonu w Ociedzie, z którym rozmawiałem przez polowy telefon. Uprzejmie przywiózł nam

wiadomość, że jeszcze raz porozumiewał się telefonicznie ze stacją Stołbce, i że pociąg zdąży do nas na 8 rano, ale jeść dostaniemy dopiero w Stołbach około 12-tej w południe. Podziękowałem mu uprzejmie za troskę o nas. Przyjrzał się naszemu już śpiącemu obozowi i odjechał. Cała noc krążyłem po obozie wśród ognisk, budząc naszych wartowników i gawędząc z ludźmi.

Na 9 rano przybył pociąg, ale złożony z mniejszej ilości wagonów, niż bolszewicki (zamiast 25 tylko 18) w dodatku polskie wagony są mniejsze. A prosiłem przez porucznika M. o 25 wagonów! Według poprzednio wydanego przezemnie rozporządzenia każdy miał wsiadać do tego samego porządkowego wagonu, od końca czy początku, jak przyjechał, by uniknąć chaosu i zamieszania. Niestety! brak siedmiu wagonów stworzył to, czego chciałem uniknąć: zamieszanie i rwetes. Zaczęły się znowu krzyki, protesty, wyrzucanie się wzajemnie z wagonów „bo on z nami nie jechał” słowem rejuwach i chaos. Ochrypiłem w rezultacie, bo musiałem przecieżyć cały tłum przekrzykując. Byli tacy, którzy chcieli odsyłać parowóz do Stołpców po większą ilość wagonów, inni do-

magali się ciągnięcia losów, kto ma jechać, a kto zostać, wobec czego musiałem nie szczędzić mocnych argumentów w słowie i czynie. A najgorszą była ta pseudo-inteligencja. Och!

W Stołbach miejscowy oddział Y. M. C. A. przyjął nas rosółem z amerykańską fasolą, chlebem, herbatą, cukrem i papierosami. Ludzie rzucali się jak nie ludzie na darmowy poczęstunek: odbywało się gorliwe zlewanie do garnuszków „na zapas”, chowanie otrzymanej porcji, stawanie po raz drugi i trzeci w kolejce i t. p. Już nie miałem zdrowia do przywracania ładu. A przecież na terenie bolszewickim karmienie odbywało się we wzorowym porządku. Ale tam wisieli nad ludźmi ustawiczna groza, a tu — wszystko wolno. Przedstawiciel Y. M. C. A. pocieszał mnie, że mają to samo z każdym eszelonem, że za as mają duży i dla wszystkich starczy. Stałem zdeterminowany na boku i przyglądając się temu, przypomniałem sobie słowa Nietsche'go: „O, Gott wie gross ist dein Tiergarten”.

O szóstej byliśmy w Baranowiczach, gdzie był punkt kwarantanny i baraki. Stąd wychodziły już regularnie pociągi z pogrupowaniem do

TANCE DEMONÓW W TYBECIE

Niedawno wróciła z Tybetu do ojczyzny amerykańska wyprawa uczonych z Narodowego Tow. Geograficznego. (Siedzibą jego jest Waszyngton). W sprawozdaniach uczonych na szczególniejszą uwagę zasługuje ustęp opisujący t. zw. tańce demonów odbywające się kilka razy do roku, w ramach panującej tu ogólnie religii lamaickiej i ze współudziałem kapłanów tego wyznania.

Uczeni amerykańscy przyglądali się tego rodzaju tańcom „w 6 dzień 6 miesiąca” w klasztorze Dhoni. W dzień ten odbywają się szczególniejsze uroczystości zwane: „Sham-nyonwa”.

Panującą religią w Tybecie jest lamaizm — a w gruncie rzeczy mocno wynaturzony i znieprawiony budaizm, który przyszedł tu mniej więcej w 8 stuleciu z Indji. Tu, przemiaszał się z dziwnymi wierzeniami — a przede wszystkim z szamanizmem — i uznawszy typową symbolikę religijną budaizmu, w dalszym ciągu uznawał rozmaite dawne legendy szamanów o cudach i demonach. Ponieważ głową kościoła jest najwyższy lama a księża zwa się lamami, całą religię nazwano lamaizmem.

Pół zewnętrzną powłoką budaizmu opiera się więc lamaizm na starodawnych przesądach narodowych, których korzenie tkwią chyba jeszcze w jakichś zamierzchłych czasach. Dużą rolę w lamaizmie odgrywają tańce religijne a w nich znowuż tak zwane: *tańce demonów*. Wiele z tych tańców ilustruje zresztą w sposób zupełnie plastyczny niejedno zdarzenie historyczne z dziejów Tybetu — chociaż, są tańce, których znaczenia dziś już nawet najwyższy kapłan lamaicki nie potrafiłby logicznie wytłumaczyć. Ze jednak istnieją one od 2000, czasem nawet od 4000 lat, więc nic dziwnego, iż siłą tradycji są żywe i ciągle odnawiane.

Jak wspomnieliśmy już wyżej, amerykańscy uczeni przyglądali się tańcom religijnym „w 6 dniu, 6 miesiąca”.

Tancerze tybetańscy ubierają się do swoich tańców nietylko bogato, ale i niezwykłe. Kostjumy ich mają na sobie krój starodawnych wieków. Niektóre sięgają swoim początkiem słynnej dynastji Mandżu. Każdy tancerz ma na twarzy dużą maskę świetnie i trwale wykonaną. Można powiedzieć bez przesady, iż w tej dziedzinie — naród biedaków — rolników i pasterzy — doszedł do wysokiego artystycznego poziomu. Maski są wykonane ze specjalnej masy papierowej, są ciężkie, zaopatrzone w otwory na oczy i usta tak, ażeby tancerz wykonujący bardzo męczące tańce mógł mieć ułatwiony oddech i orientację.

Uroczystości taneczne rozpoczynają się około południa i odbywają na wiel-

kiem podwórzu klasztoru. Dla „dygnitarzy” ustawione są amfiteatralnie, dookoła, ławki. Plebs siedzi na dachach, stoi między filarami, wdrapuje się na drzewa. Do tańców przygrywa orkiestra składająca się z kilku różnej wielkości trąb. Niektóre są fantastycznie powyginane i nad zwykłą miarę wielkie (3 do 5 m.), tak, że trzeba je opierać na specjalnie przygotowanych stojakach. Poza tym są tu rogi z brązu, bębny i dużo fletów.

Pierwszy taniec nazywa się *Tegon*. Najpierw występują w nim chłopcy przybrani w staroświeckie stroje hinduskie z długimi nosami w maskach. *Tegon*, to jeden z bogów kościoła lamaickiego. Taniec jest dość mało zajmujący.

Drugi numer produkcji to taniec śmierci. Występują tu kapłani w strojach doskonale imitujących szkielety i w maskach przedstawiających czaszki trupie. Jest tu wiele symbolów, ale łatwo zrozumiałych. Taniec ten jest już żywszy i bardziej kolorowy.

Trzeci punkt produkcji jest najbardziej interesujący dla plebsu. Jest to rodzaj pantominy tanecznej pełnej humoru. Rewja owa to t. zw. *Nantain*. Centralną jego figurą jest błazen w masce istotnie komicznej, grubas i niedołęga, a równocześnie doskonały gimnastyk. Na scenę występują z nim dwa typy ludowe tybetańskie — oczywiście także w maskach — mężczyzna i kobieta. Oboje pobudzają błazna do kawałów. Z boku stoją kapłani lamaicy,

jako widzowie, którzy jednak po ciachu „podpowiadają” parze wieśniaków czego mają żądać od tłuszciocha. W pewnym momencie proponują mu ażeby odprawił nabożeństwo obiecując mu w niem służyć. Grubas godzi się na to. — Szybko improwizują ołtarz — zaczynają odprawiać nabożeństwo. — Kapłani stojący z boku podpowiadają trójce, jak trzeba odprawiać owo nabożeństwo, a potem... w pewnym momencie... gdy grubas zamierza spełnić ofiarę religijną, napadają nań i biją go. Tłum ryczy z radości. *Nantain* z towarzyszymi zmyka ze sceny.

Sens tej grubej zabawy jest taki: w swoim czasie mnisi chińscy usiłowali nagiąć religję lamaicką do swojego systemu religijnego. Pomagali im w tem władcy Tybetu. Kapłanów lamaickich prześladowano. Po długiej walce mnisi chińscy musieli wynieść się z kraju — kapłani lamaicy zwyciężyli. Ów grubas *Nantain* — ma być uosobieniem mnicha chińskiego. (Coś jak Haman wysmiewany przez żydów).

I znowu taniec szkieletów! Ale już inny. Jest w nim tylko kilku tancerzy, inaczej przybranych. Figurą centralną jest tu postać boga podziemi z głową jelenia ulepioną z ciasta. Przed tym to bogiem tańczy solista — a tańczy nadzwyczajnie! — i w pewnej chwili szyletem rozbija boga i części jego rozrzuca między publiczność. Tak postępuje *Życie ze Śmiercią*. Lekceważy ją sobie.

Tańców podobnych jest kilkadziesiąt. Są to właściwie rewje taneczne, skecze mimiczne. Występuje w nich raz bóg podziemi *Yama*, to bóg dobrobytu *Namse*, to mag indyjski *Amnyi Toba*, to znowuż małżonka okrutnego boga *Siwy*, bogini *zła*, *Balden Lhamo*. Nawiasem dodać warto, że gdy Anglicy wkroczyli do Tybetu za królowej Wiktorji, najwyższy kapłan *Dalaj Lama* ogłosił królowę angielską, jako przekłątą i uznał ją za taką właśnie boginię zła.

W tańcach tych jest dużo rytmiki i oryginalności, jeszcze więcej symbolów, niestety, tak bardzo zakłóconych, że człowiek biały z trudem tylko może z nich wycisnąć jakiś sens. Ostatecznie nie można się jednak temu zbyt dziwić skoro kapłani pytani o sens tego czy innego tańca — symbolu, plątają się w słowach i całkiem naprawdę nie umieją go wyjaśnić.

W każdym razie *tańce demonów* są barwne i ciekawe. Gdyby ktoś poświęcił się obserwowaniu ich w całym Tybecie i w ciągu dłuższego czasu, mógłby, najprawdopodobniej, dostarczyć nauce wiele ciekawych szczegółów i informacji o sposobie myślenia i psychice Tybetańczyka.

Wymagałoby to jednak b. wielkich pieniędzy, dużej straty czasu, wielu podróży i błąkania się w dziedzinie najbardziej fantastycznych symbolów. Wątpliwe więc czy znajdzie się przedko taki „uczony”.

Sztuczne słońce dla górników

Blady wygląd większości górników przypisuje się niedostatecznej ilości światła słonecznego, z jakiej mogą korzystać ci podziemni pracownicy. To też higieniści żądają wprowadzenia naświetlania górników promieniami pozafioletkowymi lampy kwarcowej.

Podobno promienie te, oprócz leczniczych własności, posiadają także i ogólne działanie podniecające na organizm normalnie zdrowy. W ciągu 6-u miesięcy badano skutki działania promieni pozafioletkowych na organizm górników i wykazano podobieństwo tego działania do skutków treningu sportowego, które objawiają się przede wszystkim w przyspieszeniu ogólnej przemiany materji.

Co do zmian w składzie krwi, to leukocytów ubywa, limfocyty pomnażają się, zaś wydajność siły mięśni jest większa tak, że dany osobnik pewną pracę wykonuje prędzej i z mniejszym zmęczeniem, niż przed naświetlaniem, zaś po wysiłku odzyskuje siły szyb-

ciej. Wprowadzenie więc „sztucznego

słońca” dla górników może mieć dobre rezultaty.

Rejestracja planetoid

Liczba zarejestrowanych dotąd małych planetek, czyli planetoidów, wynosi obecnie około 1200. Liczba ta, w miarę opracowywania materiału obserwacyjnego nowoodkrytych planetoidów i ustalania ich orbit, ulega jednak stałemu wzrostowi. Możliwym tem zadaniem zajmuje się głównie Astrono-

misches Recheninstitut w Berlinie-Dahle.

Znamienne jest, że wielkiej ilości nowoodkrytych planetoidów nie rejestruje się wogóle, gdyż szczupły materiał obserwacyjny, wskutek prędkiego oddalania się planetoidy, nie wystarcza do wyznaczenia orbity.

Sztuczny deszcz zbyt kosztowny

Donosiliśmy już kilkakrotnie o próbach zmierzających do wywoływania deszczów drogą sztuczną. Próby udawały się zupełnie dobrze. W rezultacie, zapanowała radość wśród rolników w krajach, które cierpią na większy brak wody względnie opadów wodnych, iż można będzie dzięki temu pomysłowi uniezależnić się od przyrody.

Niestety! życiowa praktyka wykazała, że chociaż możliwości takie istnieją, — że chociaż plan jest mądry i dobry — ale koszt sprowadzania sztucznego deszczu jest tak wielki, iż nie kalkuluje się jego interwencja.

Tak to bywa czasami z dobrymi pomysłami gdy celem ich jest na gwałt zmienić prawa natury...

różnych miejscowości partjami repatriantów, po odbyciu trzydniowej kwarantanny.

Spotkano nas na dworcu z muzyką wojskową, grano hymn, były powitalne mowy, okrzyki, ale już niestroju nie było. Już był tylko tłum, który chciał się wydostać czempredziej z wagonów i rozpytywał, czy można i bez kąpieli dostać darmową czystą bieliznę i dla czego tylko po jednym komplecie, a nie np. po pół tuzina.

Potem omal nie zaczął się tumult, gdy nam powiedziano, że nocować będziemy w pociągu, bo niema miejsc w barakach. Było to lato, można było porozpinać wielkie amerykańskie namioty, które Y.M.C.A. ofiarowywała, ale prezes p. K. nie zdażył widocznie w Warszawie podpisać odpowiedniego formularza, przeprowadzić go przez dziennik i zanumerować, więc miejsc nie było i kwita!

Dopiero później, kiedy nastąpiła zima, kiedy ludzie zaczęli setkami umierać na zapalenie płuc, i kiedy nareszcie pan K. został usunięty, zaczęto podobno coś budować na baranowickim punkcie w sąsiedztwie dużego nowopowstałego cementarza.

Miejscowa administracja robiła jed-

nak co mogła. Więc tego wieczoru wyprawiono kilkanaście wagonów repatriantów, którzy już odbyli parodję kwarantanny i na ich miejsce wpuszczono nas świeżych na stare śmiecie, które, przy nas, brzożowemi miotłami zgarniano. Przeważnie ludzie byli pomieszani ze sobą; świeżo przybyli z tymi co odbyli już dzień lub dwa kwarantanny. Łaska Pana Boga czuwała nad wszystkimi, że nie zawleczono żadnej większej epidemji.

Zaraz po ulokowaniu się i po pilnej obserwacji udałem się do oficera żandarmerji, ażeby spełnić polecenie Prezydium P. K. R. z Moskwy. Dano mi kilku żołnierzy z podoficerem, którym wskazałem podejrzanych agentów i tych z którymi w drodze byli w kontakcie. Zabrano ich z rzeczami do Komendy, zrobiono rewizję. Przeważnie mieli broń przy sobie, a kilka waliz komunistycznej bibuły niezbić dowodziło w jakim celu przybyli do Polski. Spisano odpowiedni protokół i po przeprowadzeniu śledztwa mieli być wysłani z powrotem do Bolszewji. Spotykam niektórych do dzisiaj w Warszawie. Wyglądają naogół dobrze!

Zastałem w Baranowiczach kilka telegramów od rodziny i przyjaciół, a

oprócz tego był telegram urzędowy od Prezesa p. K. z Warszawy, by mnie puszczono niezwłocznie i bez kwarantanny w dalszą drogę. Nie chciałem jednak korzystać z uprzejmej protekcji, gdyż wolałem wszystko dokładnie widzieć i obserwować.

Na drugi dzień stanęliśmy do szczepienia: ospy, tyfusu, cholery, czerwonki — wszystkiego odrazu — w ciągu pół godziny, przechodząc od jednego stolika do drugiego w dużym namiocie.

W miejscowych „bankach” wymienić na polskie marki parę funtów angielskich, które udało mi się ocalić przed czekistami w ten sposób, że cały czas trzymając je w ręku, wymachiwałem niemi czekistom przed nosem wraz ze spisami repatriantów i kartkami gospodarczo-żywnościowymi.

Po pięciu dniach pobytu w Baranowiczach kupiłem sobie sleeping i pojechałem do Warszawy, dokąd przybyłem dnia 2 lipca.

Tu spełniły się ostatnie słowa witebskiej dziwnej przepowiedni: „*Jej*” i moje drogi życiowe rozeszły się biegunowo. Nie była mi przeznaczona! W dwa tygodnie po mym powrocie zmarła mi druga siostra, a w rok potem

i matka; fach także zmieniłem, bo zamiast pracować aktywnie w technice morskiej piszę wspomnienia z lat ubiegłych i przygotowuję się do czynnej akcji politycznej.

Złożyłem tak „na wszelki wypadek” podania do Min. Spr. Zagr., do Wydziału Konsularnego i Komisji Rewizyjnej o zwrot zagrabionego przez bolszewików mienia i dokumentów i... czekam narazie „u morza pogody”. Może koło Fortuny znowu się odwróci i tajemnicza ta pani z zawiązanymi oczami nie wyszczerzy ku mnie złośliwie zębów, lecz pokaże je w pięknym uśmiechu; wtedy wielki szklany kloz ciężącego nad człowiekiem przeznaczenia, przesuwając się wskutek przyczyny, uleczy rany duszy i serca i skieruje bieg mego życia na góry wytknięte nowe, może lepsze tory.

PRAWA MORSKIE

(Na marginesie katastrofy „Atlanticu“)

1)

Prawem morskiem nazywa się zbiór zasad prawnych, normujących żeglugę morską. Normy prawa morskiego są oparte na zwyczajach, powstających w tej dziedzinie życia w miarę jej rozwoju. Do dzisiejszego dnia zwyczaj odgrywa poważną rolę w żegludze morskiej, aczkolwiek wszystkie państwa w ciągu wieków dokładały starań zmierzających do ujęcia komplikującego się z biegiem czasu handlu morskiego w ściśle określone i przewidujące wszystkie życiowe wypadki paragrafy kodeksów.

Za najdawniejszych czasów kupiec sam był właścicielem okrętu, sam nim dowodził jako żeglarz, sam nim kierował, poruszając go siłą zakupionych przez siebie niewolników, i w ten sposób rozwoził własne towary na własne ryzyko. Z biegiem czasu, kupiec nie występuje już stale w charakterze żeglarza, lecz wysyła na swym okręcie (może ich mieć kilka) ze swoim towarem najemnych ludzi: nawigatorkę, zwanego *nauclerus*, jako kierownika okrętu i *clerk'a* handlowego dla dokonywania transakcji kupno i sprzedaży, lub jednego pełnomocnika, zwanego *cargatorem*, który był jednocześnie kierownikiem okrętu i zarazem agentem handlowym swojego patrona, za co pobierał prócz stałej lufy jeszcze procent od obrotów handlowych. W ten sposób wytworzył się z czasem typ *kapitana* statku handlowego, który pływał dla własnego zarobku i korzyści patrona, ryzykując życie w walce z żywiołem i rozbójnikami morskimi.

Później kupcy zaczęli tworzyć między sobą spółki handlowe, budujące okręty, i rozsyłali na nich swe towary przy pomocy najemnych kapitanów i załóg. W średniowieczu zaczęło tworzyć spółki żeglugowe dla przewozu towarów, w skład których wchodziła właściciele towarów, czyli kupcy, właściciele okrętów, zwani *armatorami*, a często i członkowie załóg. Stosunki te panowały w epoce rozkwitu republik morskich: Wenecji, Genui, Pizy. Z czasem, następuje rozdział między właścicielami towarów i właścicielami okrętów. — Armator uniezależnia się; a może nim być jednostka fizyczna, często właściciel i kapitan okrętu w jednej osobie, lub jednostka prawna, t. j. spółka żeglugowa, odnajmująca swe okręty kupcom na określoną podróż pod kierownictwem najemnych kapitanów; armator zatem za pewną zgóry umówioną zapłatę podejmuje się przewieźć (lub przywieźć towar do portu przeznaczenia. Pojawia się *konosament*, to jest pokwitowanie kapitana z załadowania otrzymanego ołowaru wraz z zobowiązaniem dostarczenia go „o ile Bóg oddarzy mnie szczęśliwą drogą” do portu przeznaczenia i rąk adresata. Tekst o lasce i opiece Boga zachowały niektóre konosamenty do ostatnich czasów. Ryzyko w razie awarii lub naramator — okręt, załoga — często życie lub wolność.

Celem zabezpieczenia handlu morskiego przed powyższymi stratami powstają *towarzystwa asekuracyjne*, które za pewną procentową opłatą ubezpieczeniową zobowiązują się zwrócić straty kupcom i armatorom, a nawet wykupić z niewoli u piratów członków załogi. Statek może być ubezpieczony na pewien okres czasu, na jedną lub kilka podróży, na podróże specjalne np. na teren działań wojennych; towar normalnie bywa ubezpieczany na czas od załadowania do wyładowania.

Konosament. — jako morska ceduła frachtowa, — zabezpieczony polisą asekuracyjną przedstawia przedmiot kupna i sprzedaży, a nawet zastawu: wyłania się zatem nowy czynnik w transakcjach handlowych morskich — wierzyciel, dający pieniądze pod zastaw towarów wedle konosamentu, który lombarduje.

Powstające przy tych operacjach i transakcjach kwestje sporne wywołują potrzebę instytucji sądów vel try-

bunałów morskich. Do ich kompetencji należy również orzekanie w wypadkach awaryj, według prawa o rozbitekach, o ochronie szcztaków okrętów i resztek towarów, rozstrzyganie prawa do premii asekuracyjnej; rozbiteków, zajmują się także sprawami wyrokowanie o stopniu odpowiedzialności kapitana i załogi. Trybunały morskie, stosując prawo o ratowaniu awarystów, zajmują się także sporami, dotyczącymi się wynagrodzenia dla ponoszących trudy w akcji ratowniczej, określając wysokość wynagrodzenia w stosunku do wartości uratowanych towarów i kadłuba.

W miarę rozwoju stosunków handlowych dzika żegluga (od wypadku do wypadku) powoli zanika; powstają regularne linie okrętowe z kursami w określonych terminach. Kupiec już nie jest zmuszony wynajmować cały okręt dla swych towarów na pewną podróż, lecz korzysta ze stałej komunikacji żeglugowej z potrzebnym mu portem przeznaczenia w zgóry przewidzianych terminach i wysyła swój towar na zarabiającym przewozem okręcie, zajmując tylko część jego ładunkowych pomieszczeń. Powstaje nowy pośredniczący czynnik między kupcem i towarzystwem żeglugowym, mianowicie *biuro ładunkowo - spedytorskie*, które zabiera towar ze składow kupca, ładuje go na okręt, idący do portu przeznaczenia towaru, załatwia wszystkie formalności przewozowe, asekuracyjne, celne i oddaje kupcowi konosament, który ten może zastawić, lub przesłać odbiorcy za zaliczeniem, ew. udzielić mu kredytu wekslowego czy towarowego na rachunek otwarty. Zjawiają się *faktoryje*, przedstawicielstwa i oddziały firm oraz biura maklerskie.

Wszystkie te — już obecnie złożone — manipulacje obrotowe handlu morskiego, prawo morskie, zdążając za wytwarzaniem przez życie formami komercyjnymi, stara się ująć w normy prawne, zabezpieczające prawny stan posiadania, odpowiedzialności i gwarancji, oraz wzajemną zależność prawną czynników handlu morskiego: kupca, spedytora, armatora, kapitana, załogi, maklera, odbiorcy, towarzystwa asekuracyjnego, wierzyciela, komory

celnej, opłat portowych, tranzytowych, podatków państwowych (wwozowych i wywozowych) — nietyko w czasie prawidłowego funkcjonowania aparatu handlowego, ale również we wszystkich wypadkach nadzwyczajnych jak np. podczas wojny, epidemii, kataklizmów przyrody, w wypadku awarii i t. p.

Ważniejszymi skodyfikowanymi źródłami historycznymi obecnego pisane go ustawodawstwa morskiego są: *Prawo Rzymskie*, w którym znajdują się zaczątki prawa o awarii („lex Rhodia de jactu”) i o pożyczce morskiej (*foenus nauticum*), *Rules de Oleron* z XII wieku dla portów Atlantyku, *Consolado del Mare* z 1370 r. dla portów morza Śródziemnego, *Prawo Hanzy* z XV wieku, francuskie prawo *Ordonnance de la Marine* z 1681 r., duńskie *Danskelow* z 1683 r., prawo rosyjskie z 1781 r., kodeks handlowy *Napoleona* z 1808 r., angielski *Merchant Shipping Act* z 1854 r., amerykański *Revised Statutes* z 1875 r., wreszcie *niemieckie prawo handlowe*, które przedstawia zmodyfikowane i uzupełnione w 1897 r. nowymi ustawami dawne prawo pruskie; czwarta księga tego kodeksu niemieckiego, obejmująca prawo morskie, została przyjęta z pewnymi uzupełnieniami przez odrodzone Państwo Polskie.

Prawo morskie jako całość ujmuje i normuje przepisy i prawa obowiązujące oraz broniące jednostkę, ogół państwo i interesy morskie wszystkich państw, i dlatego jest dzielone, acz bez wyraźnych linii demarkacyjnych na morskie prawo: 1) prywatne, 2) publiczne, 3) państwowe i 4) międzynarodowe.

Prywatne prawo morskie reguluje osobiste stosunki prawne w dziedzinie żeglugi morskiej pomiędzy jednostkami np. w sprawach kupna, sprzedaży, zamiany, wynajmu, transportu, załadowania, najmu załogi, asekuracji i t. p.

Publiczne prawo morskie normuje ogólne przepisy np. o banderze, o rejestracji i pomiarze statków, o dokumentach okrętowych, o dawaniu sygnałów, o ubezpieczeniu społecznym marynarzy, przepisy zdrowotne i t. p.

Państwowe prawo morskie odnosi

się do osób, podporządkowanych bezpośrednio państwu w dziedzinie żeglugi morskiej, jak konsulów, władz portowych, pilotów, urzędów celnych, rybackich, emigracyjnych i t. p. oraz do działań, związanych z funkcją tych osób.

Międzynarodowe prawo morskie uzgadnia różne punkty widzenia interesów morskich różnych państw we wzajemnych stosunkach handlowych. Źródłami międzynarodowego prawa morskiego są zwyczaje i umowy międzynarodowe, do których Polska zgłosiła przystąpienie.

Jedną z najzawilszych kwestyj jest stosowanie prywatnego prawa morskiego w stosunkach międzynarodowych np. w wypadku awarii na obcych wodach. Statek handlowy, który jest własnością prywatną, odwiedzając coraz to inne porty zagraniczne, wkracza stale na różne obszary prawne morskiego prawa państwowego, i najtrudniejsza do rozstrzygnięcia sprawa wyłania się wtedy, gdy statek na obcym obszarze prawnym popadnie w spór prawny.

Międzynarodowe prawo morskie określa pojęcie morskiego statku handlowego jako jednostkę pływającą, uprawiającą żeglugę w celu zarobkowania. Najważniejszymi uprawnieniami morskiego statku handlowego są: prawo uprawiania żeglugi na wodach terytorjalnych swojego państwa, nietykalność na pełnym morzu i prawo eksterytorjalności na wodach i w portach obcych zgodnie z traktatami, konwencjami oraz zwyczajami międzynarodowymi; zaś na znak swej odrębnej przynależności państwowej statek handlowy ma prawo i obowiązek przepisowego podnoszenia bandery handlowej państwa, do którego należy. Czyli, że międzynarodowe prawo morskie traktuje morski statek handlowy na otwartym morzu jako część terytorjum jego państwa, na terytorjalnych zaś wodach i portach obcego państwa podporządkowuje go zasadniczo przepisom prawnym tegoż państwa za wyjątkiem jurysdykcji w sprawach cywilnych i karnych pomiędzy osobami, wchodzącymi w skład załogi.

(C. d. n.)

Szybkopłynący statek przyszłości

Wielkie okręty oceaniczne rozwijają w tej chwili szybkość, wynoszącą około 50 km. na godzinę. Szybkość ta zależna jest od wielkości i średnicy śruby okrętowej, która przeciętnie dokonuje ca. 170 obrotów na minutę. Osiągnięcie większych szybkości dla będącego dziś w użytku typu statków jest mało prawdopodobne, gdyż wytworzenie niezbędnej do tego siły popędowej uważane bywa za kosztowne i nierentowne. Przemawiają przeciwko temu i inne trudności natury technicznej.

Szybciej płynących sportowych łodzi motorowych, jako nienadających się do komunikacji pasażerskiej nie należy tu brać w rachubę.

Ażeby jednak szybkość statku na wodzie zwiększyć za wszelką cenę szuka się innego rozwiązania. I — zdaje się — znaleziono go.

Chodzi tu mianowicie o statek, który otrzymałby inną formę, któryby mniej głęboko zanurzał się w wodzie a którego popędowa śruba okrętowa, mniejsza od dotychczasowej, pracowałaby w rozpylonej a połączonej z powietrzem wodzie, wykonując większą ilość obrotów.

Główną zasadą popędu polegającą na tym, że wyzyskane ma być o wrotne ciśnienie wody, pędzonej za pomocą specjalnego urządzenia.

Uwzględnivszy tu najnowszej konstrukcji maszyny, zajmujące stosunkowo bardzo mało miejsca o poważnie zmniejszonej wadze, obliczono, że np. nowy typ statku, o 80 m. długości, 25 m. szerokości i pojemności 3000 tonn,

mógłby rozwinać szybkość do 150 km na godzinę.

Jeżeli te obliczenia nie zawiodą, to trzykrotne zwiększenie dotychczasowej szybkości okrętów uważałoby należało za szalony wprost postęp w dziedzinie żeglugi morskiej.

Obecnie udało się czeskiemu wy-

łazcy Otczenaszskowi skonstruować model łodzi bez śruby okrętowej z hydrodynamicznym popędem. Jest to statek, podobny do wyżej omawianego typu.

Próby wykazały, że wynalazek ten mógłby być — zdaje się — praktycznie wyzyskany.

Nowy sterowiec niemiecki

Budowany obecnie niemiecki sterowiec L. Z. 129 będzie znacznie większy, aniżeli sterowiec Zeppelin. Długość jego będzie wynosiła 248 m., największa średnica 41 m.

Wnętrze jest podzielone na szesnastą ilość komór.

Wszystkie kajuty dla podróżnych mieszczą się na dwu nad sobą położonych pokładach. Pokłady są głęboko wpuszczone w kadłub. Na pokładzie górnym znajduje się jadalnia, salon i

obszerna hala, na pokładzie dolnym sypialnia, pomieszczenia dla obsługi, łazienki.

Sterowiec będzie napełniony gazem heljum, dzięki czemu niebezpieczeństwo pożaru będzie się znacznie.

Do popędu będzie się używało czterech motorów ropnych. Każdy motor ma 800/1000 koni mechanicznych. Motory te będą mogły nadawać sterowcowi szybkość 130 — 150 kilometrów na godzinę.

Niewidzialne promienie w lotnictwie

Anglik inżynier J. C. Savage, dokonał ciekawego wynalazku. Zbudował on specjalny aparat projekcyjny, który umożliwi rzucać w przestrzeń coś w rodzaju siatki z linii świetlnych, tak delikatnych, że w czystym powietrzu nie mogą być dostrzeżone przez załogę lecącego aparatu lotniczego. Dopiero w zetknięciu się z ciałem nieprzezroczystym w powietrzu, a więc z chmurą lub samolotem, okazuje się, że siatka jest światłem rzucającym przez elektryczną lampę o sile 3 miliardów świec.

W zetknięciu się z tą niewidzialną pajęczyną, — samolot rozbitka tak gwałtownie, — jakgdyby cały stanął w ogniu, a ponieważ siatka ma odpowiednik w aparacie projekcyjnym, więc w mgnieniu oka ma się oznaczone dokładnie położenie i wysokość samolotu.

Dzięki temu, może być samolot z łatwością stracony przy pomocy artylerji przeciwlotniczej. Próby z tego rodzaju aparaturą zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem. Aparat dokonał próby na wysokości 5000 metrów.

Urząd kanclerski w dawnej Polsce

Odkąd w Polsce piastowskiej zaczęto używać pisma, każdy książę lub król miał przy boku swoim kancelarję, a w niej pisarza, czyli kancelerza, który na zlecenie monarchy sywał po łacinie: przywileje, nominacje, nadania, wyroki, i — przykładał na nich, lub zawieszal pieczęć panującego.

Wszyscy kancelerze piastowscy byli prałatami kapituł, bo pismo i nauka była wówczas uprawiane wyłącznie przez duchownych, którzy przytem dawali największą rekojmię uczciwości.

W dobie Polski podziałowej, było już wielu kancelerzów. Gdy księstwo było większe, lub gdy kilka księstw łączyło się w dzielnicę, a potrzeba aktów pisanych stawała się coraz powszechniejsza, jeden kancelerz przy księciu nie wystarczał, więc dodawano mu pomocników, czyli podkancelerzych. Gdy się księstwa łączyły, kancelerze z ziem przyłączonych, przechodzili na podkancelerzych w kancelarji głównej, niby na ministrów tych dzielnic.

Pierwszą wzmiankę o takim podkancelerzym mamy z r. 1189. W pierwszej połowie XIII w. spotykamy podkancelerzych: w Krakowie, na Mazowszu, na Kujawach.

W aktach wymieniano zwykle, kto je pisał, więc stąd są i wiadomości. Gdy pisanie w kancelarji króla lub księcia było coraz więcej, dodawano kancelerzom i podkancelerzym pisarzy, którzy pod rozmaitymi tytułami występują w dyplomatach, jako *notarii curiae, scriptores domini ducis* i t. d.

Urząd kancelerza bywał przywiązany do księstwa, pisarz zaś do osoby księcia.

Każdy książę miał kancelerza i dla najmniejszego księstwa, choćby chwilową tylko mającego udzielnosc, a kancelerstwo to, raz utworzone, nie ustawało, jak i województwo. Gdy księciu przybywało księstw, choćby mógł obeiść się jednym kancelerzem, zostawał wszystkich, może dla świętosci dworu i powagi swojej w stosunku do innych Piastów, a może przez poszanowanie udzielnosci ziem przyłączonych, które było cechą znamieną dziejów polskich.

Kancelerzów na Rusi dawniej nie było, dopiero Kazimierz Wielki zamianował pierwszego kancelerza Rusi Czerwonej.

W miarę zrastania się dzielnic polskich w jedno państwo, następuje w XIV w. zanik kancelerstw prowincjonalnych. Nie usuwano tych kancelerzy, ale gdy kto umarł, nieznaczano nowego.

Za Jagiellonów widzimy już odmienną postać rzeczy. W hierarchji urzędników ziemskich po województwach, ziemiach i powiatach widzimy tych samych, co w dobie Piastowskiej, wojewodów, skarbników i t. d., ale nie spotykamy już kancelerzy.

Ublizaloby to ministerjalnej powadze kancelerzy koronnych. Gdy inni urzędnicy ziemscy byli przeważnie tytułarni, to kancelerze ziem pisali i przykładali pieczęcie z urzędu, zatem poza kancelarjami kancelerzy i podkancelerzych koronnych, utrzymać się dłużej nie mogli. Najdłużej mogli być na Mazowszu. Panowali tam bowiem udzielni książęta z rodu Piasta, którzy w duchu tradycji piastowskich, obok kancelerza nadwornego, mieli wielu innych kancelerzów po ziemiach. Ze śmiercią ostatniego z tych książąt w r. 1526 zamyka się poczet kancelerzy mazowieckich na Mikołaju z Żukowa, proboszczu warszawskim.

Kancelerstwo ceniono oddawna w Polsce, jako jedno z najszacowniejszych dostojenstw.

Pieczęć kanclerska i w ogólnosci wszelka pieczęć — mówi Szajnocha — była przedmiotem czci bałwochwalczej, której udzielała dokumentom. Była ona główną rzeczą, sercem każdego dokumentu. Większa część ówczesnego, niepiśmiennego świata umiała z całego dokumentu tylko jego pieczęć „przeczytać”, poznać.

Za Jagiellonów kancelerz krakowski czyli królewski był koronnym, t. j. dyndym na całą Polskę kancelerzem.

Podkancelerzy nie był zależnym od niego urzędnikiem, tylko pierwszy był starszym, a drugi młodszym ministrem od pieczęci, za co ich obu „pieczętarzami” zwano. Kanclerska pieczęć była większą, podkanclerska mniejszą.

Kancelerze z urzędu swego powinni byli znać doskonale prawa pisane i zwyczajowe. Tych ostatnich było zawsze dużo w Polsce, pisane z nich powstawały, a gdzie pisane nie starczyły, tam zwyczaj narodowy rozstrzygał. Wszystkie pisma odczytywali, przemawiali publicznie od króla na sejmach i w innych zdarzeniach, w sejmie wnosili tak zwane „propozycje” od tronu, odpowiadali za króla poselstwom obcym i krajowym, znosili się z dworami zagranicznymi, prośby do króla przyjmowali, pisali uniwersały, przywileje, dyplomaty i wszelkie listy od króla do szlachty, panów lub za granicę.

Sądziłi nawet w imieniu króla na sądach „zadwornych”, czyli w tak zwanej asesorji, do której szły apelacje od spraw nieszlachty i starostów. Jako najwyżsi stróżowie prawa i powagi Rzplitej, kancelerze byli to jakby dzisiejsi ministrowie spraw zagranicznych i sprawiedliwosci zarazem, a poniekąd i spraw wewnętrznych. Sprawy zagraniczne należały do nich wyłącznie, inne rozdzielały się i po innych ministeriach. Pod wielu względami odpowiadałi temu, co jest dziś zadaniem premiera (prezesa rady ministrów).

Żaden akt władzy królewskiej nie znaczył bez pieczęci, bo król, nie znając rzeczy, mógł coś napisać prawu przeciwnego, ale akt nie miał mocy, póki nie był zatwierdzony pieczęcią kancelerza. Kancelerz więc był w Polsce tym ministrem konstytucyjnym i odpowiedzialnym, jacy dziś kontrasygnują podpisy monarchów lub prezydentów w swoich wydziałach.

Jak była wielką powagą i sumiennością jagiellońskich kancelerzy, może zaświadczyć przykład, że gdy Władysław Jagiełło wydał przywilej na tytuł hrabiowski pasierbowi swemu Janowi, panu na Pilicy, kancelerz Wojciech Jastrzębiec odmówił pieczęci, bo prawo polskie hrabstw nie znało,

jako przeciwnych równosci stanu rycerskiego.

Kancelerz przedstawiał sprawy do podpisu królowi, a dawniej, kiedy królowie nie podpisywali jeszcze, przedstawiał do zatwierdzenia.

W XV w. mamy już dwie oddzielne kancelarje koronne: kanclerską i podkanclerską, t. j. większą i mniejszą.

Król Aleksander Jagiellończyk postanowił, że godności: kanclerska i podkanclerska mają być nadal równe sobie. Różniła tych ministrów tylko pieczęć większa u kancelerza, mniejsza u podkancelerzego.

W r. 1496 postanowiono, iż kancelarja królewska nie może dawać żadnych listów, bieg sprawiedliwosci tamujących.

Dotąd kancelerzami byli prawie zawsze dostojnicy Kościoła, jako ludzie najuczciwsi, ale Zygmunt I-szy, na prośby senatorów i szlachty, postanowił w 1507 r., że odtąd jeden z kancelerzy ma być duchownym, a drugi świeckim.

Było to jedyne ministerstwo, które mogło być udziałem duchownych.

Za królów Aleksandra i Zygmunta I uchwalono cały szereg ustaw o urzędzie i ceremonjach kanclerskich.

Król miał kancelerzy na sejmie za radą senatorów, mianować. W istocie pytał się ich o radę, wszakże nie kępowało to jego woli. Świeccy pieczętarze nie mogli piastować żadnego więcej sanatorskiego urzędu.

W stopniu dostojności kancelerze szli po marszałkach i hetmanach wielkich po nich podkancelerzowie, dalej podskarbiowie.

Kancelarja, koronna była szkołą obywatelską, ogniskiem politycznej inteligencji narodowej. Nieraz bywało, że kancelerz i podkancelerzy swoim kosztem do Włoch posyłałi zdolną młodzież, a za powrotem brali ją do kancelarji koronnej.

Kancelerze wybierali na sekretarzy tylko ludzi zdolnych i światłych, umiających władać piórem, znających prawo narodowe. Światli królowie i kancelerze nie kierowali się przesadami kastowymi, ale wybierając ludzi, szukali ich zdolności i nauki a nie herbów. I dlatego w kancelarji królewskiej wielu było sekretarzy z nieszlachty i ci nawet na biskupów wy-

chodzili na Pomorze i do Inflant.

Ponieważ w zastępstwie kancelerza musiał ktoś zawsze kierować pracą sekretarzy, ustanowiono więc w 1504 r. urząd sekretarza wielkiego koronnego, który staje się prawie trzecim ministrem.

Niedługo potem powstał urząd regenta kancelarji; następnie powstają sekretarze pieczęci wielkiej i mniejszej, metrykanci, czyli archiwisci itd.

Na Litwie spotykamy ogromną ilość pisarzy, którzy znaczyli to samo, co sekretarze królewscy w Koronie. Rzadko jednak który był z nich istotnym urzędnikiem, bo kancelarja litewska, mało mając spraw dyplomacji, którą prowadziła z Europą, Korona, znacznie mniej miała do roboty. Litwa obywatela się długo jedynym kancelerzem. Dopiero za Zygmunta Augusta, przed samym sejmem unji, powstaje stały urząd podkanclerski.

Rozumie się, że interesa koronne szły do koronnych, a litewskie do kancelarji litewskich.

Do kancelerza należało po skończonym sejmie czuwać nad wiernem wydrukowaniem konstytucyj i rozesłać je do akt grodzkich po województwach.

Na sejmie w 1669 r. policzono do tak zwanych *egzorbitancji*, czyli wykroczeń, których kancelerz miał nie dopuszczać, rozpowszechnienie się języka francuskiego na dworze Jana Kazimierza, co uważano za zniewagę dla języka narodowego.

Na pogrzebie królewskim kancelerz kruszył pieczęć zmarłego króla, aby nikomu służyć już nie mógł.

W czasie bezkrólewia władza kanclerska bywała zawieszana i dopiero po koronacji wracała do pierwotnego swego stanu.

Wszystkich kancelerzy koronnych od roku 1354 do 1794, t. j. w ciągu lat 440, było 54.

Wszystkich kancelerzy litewskich zanotowały dzieje 22.

Ogółem licząc, aż do upadku Rzplitej było w Koronie w ciągu lat 400 podkancelerzych 77.

Na Litwie w ciągu około 250 lat było podkancelerzych 25-ciu.

Prymas polski miał także swój majestat i dlatego potrzebował „kanclerza”, którego sobie wybierał, ale b to już inny rodzaj kanclerstwa.

RZECZY PRAKTYCZNE

CO TO JEST DETEKTOR KRYSZTAŁKOWY?

Detektor składa się z oprawki i kryształka, oraz z ramienia kończącego się igiełką srebrną. Oprawka powinna dobrze i pewnie obejmować kryształek. Nóżki oprawki, przeznaczone do włożenia w odpowiednie gniazdko odbiornika, winny mieć z temi gniazdkami dobry i pewny kontakt, ramię powinno dawać się wyginać w najbardziej rozmaity sposób, ażeby igła mogła sięgać każdego punktu na kryształku, a dla sprężystości powinna być zwinięta w spirale. Igły i kryształka nie należy dotykać rękami. Poza detektor powinien posiadać nakrywkę, chroniącą go od kurzu. Nakrywkę takie zrobione są z celulojdu lub szkła i można je nabyć w handlu. Istnieją w sprzedaży detektory t. zw. dwukryształkowe, oraz stałe, raz na zawsze zamknięte lub zatopione w masie lub szkłe. Najpraktyczniejsze są jednak detektory, które dają się regulować i naprawiać oraz pozwalają na wymianę kryształka.

Działanie detektora stykowego polega na tem, że opór, jaki detektor stawia płynącym prądzie z anteny prądom szybkozmiennym nie jest jednakowy i jest zależny od kierunku, w którym te prądy przepływają, przy czem w jednym z tych kierunków opór jest tak duży, że prąd wcale prawie nie płynie. W ten sposób mamy możność przekształcania prądów

szybkozmiennych na prąd jednokierunkowy, przerywany. Na impulsy tego prądu będzie już membrana słuchawki reagować — i wytworzy drgania o częstotliwości słyszalnej.

Jako detektor, używany bywa najczęściej siarczek ołowiu albo błyszczek ołowiu. Jest to minerał budowy krystalicznej, barwy szarej, o przełomie metalicznym. Własność jego polegająca na opisanym wyżej prostowaniu prądu zmiennego, nie jest jeszcze dokładnie naukowo wyjaśniona.

W handlu znajduje się bardzo wiele rodzajów kryształków, — nieraz bardzo szumnie nazywanych, — lecz prawie wszystkie posiadają jednakowe zdolności, tak, że wybór kryształka można oprzeć jedynie na doświadczeniu.

CO TO JEST AMPEROGODZINA?

Przy zakupie akumulatora (lub baterji) radjostuchacz nie zdaje sobie niejednokrotnie sprawy, co oznacza pojemność akumulatora, podana na kartce z uwagami i przepisami obsługi akumulatora. Oznaczenie to wyjaśnić można najlepiej charakteryzując je „zdolnością gromadzenia energii” lub „ilością sprawności”.

Jeżeli akumulator posiada np. pojemność 36 amperogodzin, to oznacza to, że można z niego pobierać w przeciągu jednej godziny prąd o natężeniu 36 amperów, względnie przez 36 godzin prąd o natężeniu 1-go ampera.

Odpowiednio do powyższego, można więc z takiego akumulatora czerpać prąd 1/2 ampera w czasie podwójnym, t. j. 72 godzin, a 1/4 ampera w czasie 144 godzin.

W praktyce radioamatorskiej pobieranie prądów powyżej 1 ampera przynosi akumulatorowi szkodę. Dokładna zresztą wartość maksymalnego natężenia przy wyładowywaniu akumulatora podana jest w instrukcji fabrycznej.

Gdy mamy uruchomić np. odbiornik 4-lampowy, w którym pierwsza lampa zużywa 0.06 amp., druga 0.08 amp., trzecia 0.06 amp. i czwarta 0.15 amp. (głośnikowa), to ogólne zużycie prądu wynosi 0.06 + 0.08 + 0.06 + 0.15 = 0.35 A.

Akumulatorem o pojemności 36 amperogodzin można więc w danym wypadku posługiwać się w ciągu 103 godzin, gdyż 36 : 0.35 = 103. Akumulator o pojemności 24 amperogodzin przy poprzednim składzie lamp pozwoli na odbiór tylko w ciągu 24 : 0.35 = 68.5 godzin.

Zużycie prądu poszczególnej lampy można wyczytać z tabeli charakterystyki lampy, dołączonej w opakowaniu. Przez dodawanie stwierdzić należy ogólne zużycie prądu i dzielić należy ilość amperogodzin akumulatora przez zużycie ogólne. W ten łatwy sposób można obliczyć długość pracy dobrze naładowanego akumulatora.

Najcharakterystyczniejsze odrębności mowy Kurpiów

Mowa kurpiowska^{*)}, aczkolwiek podobna do mazurskiej i należy do dialektu mazowieckiego, posiada wiele właściwości odrębnych i sporą ilość wyrazów nigdzie na ziemiach polskich nie spotykanych. Już samo zmiekczenie spółgłosek potwierdza powyższe zdanie.

Puszczaki nie mówią kurp, piwo, piasek, ale — *kurps, psiwo, psiasek*; nie powiedzą widziałem, wisi, więcej, ale *zidziałem, zisi, wziancej*. Zwrotka jednej z piosenek kurpiowskich brzmi tak:

„Oj ty... ty psiazio,
Poziemiałeś ze nas mało,
A nas zgórą sto tysiancy,
Obejrzyj się — jescze ziancej”.

albo:

Niech bandzie pochwalony...
Na zięki zięków.

Poniżej podaję mały słowniczek wyrazów kurpiowskich:

sygnują — znaczy — dzwonią na nabożeństwo;

powerek — kawałek kija;

recytować — czytać;

odebrać — sfotografować;

chluba — gałęź;

masiust — aksamit;

taforek — wstążka;

knofel — guzik drewniany;

momka — mąka;

nie brak — nie potrzeba;

skarb — pieniądze;

zięń — ziemia;

rzeńniak — pasek rzemienny;

kubek zapalek — paczka zapalek;

ma gryf — gdy ktoś zwinny, zgrabny;

kulasy — koronki, np. u ubrania;

rajby — swaty, komplementa;

opatry — oględziny majątku pana młodego przed ślubem;

potarczyso — poprawiny w tygodniu, np. po weselu, chrzcinach;

migi — komary;

festunek — twierdza, miejsce obronne;

agnusek — medalik;

kruzyk — kubek, garnuszek;

osmana — spółka;

zedel — stołek;

skowroda — patelnia;

cudowałam — gniewałam się;

nacudowałam — naprzeklinałam, nazłościłam się;

puchnie — pachnie;

popuchać — powąchać;

sykownie chodzi — ładnie tańczy;

skromniutka — osoba szczupła;

buksy — spodnie;

dziwcak, dziewczok — dziewczyna, panna;

młodziak — kawaler młodszy;

samosyjca — kawaler starszy;

gaza — nafta;

korknął — umarł;

lejbzik — kamizelka;

loniej — przeszłego roku;

matyjaśnie — smutno, przykro;

nachci, nachcić — toć, niby (pozwierzenie);

orendować — zawiadomić;

rajboki albo *rejbaki* — kluski duże kartoflane;

skrzechca — skwarka ze słoniny;

tęni — tędy;

nie brak mi tego — niepotrzeba;

pagibelom — gdy np. zdechła kura (Wach);

rycon — kłonica;

łyscycha — łyżka;

kiście — frędzle;

napiętki albo *obzace* — obcasy u buta;

pydy, pedy — nosidła do noszenia wody na ramionach;

chrzoda — środa;

retka — koń lichy;

naremnny — naprzykrzony, uparty;

nie lonuje — nie warto;

nie lustuje — nie wiedzie się;

kitel — spódnica z paskami (deseniami) w kierunku z dołu do góry;

spódnica — sukienka w kratki lub bez deseni;

kiecka — koszula (Wach);

spletok — wstążka do wplatania w warkocz;

cizmy — trzewiki lekkie;

cegiełka cukru — kostka cukru;

porabować — podrapać;

uzer się — upił się;

niema co zarć — co jeść;

wyżar antalek psiwa — wypił;

juz go osiodłali — gdy np. psy psa gryzą;

ja się do niego zaprzęę — ja się do niego zabiorę;

iść do gracia — iść na taniec;

idę do cukru, do scawiu, do octu — idę po cukier, po szczaw, po ocet;

zasadny — zawzięty;

zlotrować — zepsuć;

wylozgotać — nadokuczać komu;

krzosto — krzesło;

prześcionek — pierścionek;

zeby-aby-zeby-aby — rad nie rad;

obiecadio — elementarz;

pismok — pisarz np. gminny;

nalucony — uczony;

krasić — farbować;

part — płótno;

apart — prócz;

smały — ubranie;

wyprześadować albo „*wyperśadować* — wytłumaczyć;

weno — widzisz, oto tu;

ajno, ajnow, owtu — tutaj;

wenowejta — patrzajcie;

mój świeciel... — wykrzyknik przy westchnieniu;

fanaberny — ambitny;

fełka — fajka;

lepy — usta;

gilbon — nos (w złości);

kulać się — tacać się;

czego się ciepies — czego się rzucasz;

brucha — brukiew;

sabelok — fasola;

zijka — wyka;

stędych sama — wszędy sama;

ziele kście — kwiaty kwitną;

ziele — kwiaty z doniczka;

ścierają — piorą koszule;

albona — ambona;

klempa — krowa;

siuchna — owca;

kiziak — żrebak;

lolka — młoda krówka;

loze — łózko;

bygiel — obwarzanek;

tyna — szaflik;

ziedro — kubek;

y ty Jegieno! — (wyr. ubliżający);

kokos — kura;

pamiętnik — nagrobek;

pomer — umarł;

to juści — tak;

toć — akurat (lekceważenie);

bodaj u księdza koń zdechł — podobno u księdza koń zdechł;

ksirotek — kwiatek;

obsady — ramy do obrazu;

myrse — małe światło z lampy nafowej;

persc — mały dzieciak (lekcew.);

kot blamce — kot miauczy;

blakał — beczal;

a... do pajaków — na nic, do niczego;

idź do drabiów — daj mi spokój;

zspokój się — daj mi spokój;

światowiec — bywalec;

siurek — smarkacz;

pisisarek — młodszy pisarz gminny;

prejzes — prezes;

chojka — sosna;

jaka — część ubrania, meżka lub kobieca, a m. wolny kaftan bez wcięcia;

zdatny dziewczok — przystojna dziewczucha;

kruzowaty — kędzierzawy;

piękny na licu — piękny na twarzy;

okórek — korek;

podkładki — zelówki u butów;

zercie — jądło;

persyc — byle jak robić;

belk — brzuch;

berdy — tłomoki, pakunki;

turzyca — szerść;

fordaka — rozporek w spodniach;

tynecka — mały szaflik;

tuk — tłuszcz topiony ze słoniny;

ziołna — wełna;

kieret — zyrandol, pajak z papieru i ze słomy u sufitu;

wybystrzyło się — wypogodziło się;

na zebraniu — po zebraniu;

nieskromna — tęga kobieta;

ucierak — ręcznik;

śtucne mleko — tłuste mleko;

nie poturam — nie pokonam;

licek kście — twarz kwitnie, rumieni się;

daj sobie radę — uspokój się;

zuchelek, zubelek — kawałek;

nachcić — przecież;

legat — próżniak;

pepuch — racuch;

sposobny — zdolny;

galina — kloce sosnowe;

kruski — gruszki szczepione (owoc);

leśnianki — gruszki dzikie;

olekać — śpiewać głośno;

arki — kruchy;

kiepkuje — drwi, wyśmiewa się;

wielecny — bardzo duży;

spik — sen;

ostrzy — prędko;

wątroba letka — płuca;

raby — żebra;

jedzie ciuchtacka — truchtem;

jedzie łoboda — galopem;

dźwaga — gdera;

wierzbiony — rzeźbiony;

scublak — szczupak;

parzychy — pokrzywy;

chrap — rzadkie błoto;

plac — śmiga w wiatraku;

dał mu folgę — dał mu czas;

odtolga — odwilż;

smaga — niesmak w ustach;

Do wchodzącego gościa gospodarz mówi:

— Witajcie do nas!

— *Panie Bożeż zapłać!* — *dziękuję za witankę* — odpowiada gość.

— *Jak się macie?*

— *Nachci Bogu dzięki pomaleńku...*

Z przekleństw miejscowych znane są takie:

A bodajci skapsiał! (bodajesz przepadł).

Bodaj cię do piekła nie przyjęli! — *Won, grzechu!* — *Co krrew, sobie myślisz?* — *Bodajcie drzwiami ścisnęło.*

— *Bodajcie portki sperły!* — *Żeby cię wątroba!* — *Żebyś wilka zjadł!* — *Bodajcie kaczkę kopnęła zadnią nogą!*

Odrębność swoją w wyrażeniach kurpie zachowują bardzo długo, kurpia czy kurpiankę, przesiedlonych na lewy brzeg Narwi, gdzie mówią już inaczej, można po wielu latach rozpoznać po mowie.

Wyrazy powyższe nie stanowią jeszcze całego słowniczka gwary kurpiowskiej, pochodzą zaś z okolic Wachu, Kadziła i Turośli. Inne miejscowości posiadają wiecie swoich wyrazów, ściśle miejscowych.

Walka czasu ze śmiercią Jak długo żyje człowiek? 45 lat—przeciętny wiek Polaka

Pytanie, jak długo trwać może przeciętne życie ludzkie, oddawna zajmowało umysły, częstokroć najwybitniejsze, od czasów najodleglejszych, aż do chwili obecnej. Różnica polega jedynie na tem, że w starożytności, aż do wieków średnich nie mając danych statystycznych, usiłowano na pytanie powyższe odpowiedzieć bezpośrednio i w każdym poszczególnym wypadku. Astrologja, posiłkując się rozmaitymi wykresami i częstokroć skomplikowanymi obliczeniami, znanymi pod nazwą horoskopów, prospektów, aspektów i t. p. opartymi na podstawach rzekomo naukowych, temu właśnie zagadnieniu w znacznej mierze była poświęcona. Zresztą jeszcze i dzisiaj nie brak ludzi, wierzących w możliwość *prawdziwości i ścisłości* odpowiedzi na to pytanie, a wróżki i wróżbici „ze wschodu” mniej lub więcej liczni we wszystkich większych miastach, dawnoby już zniknęli z horyzontu, gdyby nie odpowiedni klienci. W Europie Zachodniej istnieją specjalne czasopisma tej właśnie sprawie poświęcone.

Długi czas uważano, że na 100 lat przypadają 3 pokolenia — a na jedno około 30 lat. Na pierwszy rzut oka wypadałoby, że liczba powyższa odpo-

wiada przeciętnemu wiekowi życia naszego. Nawet już po zarzuceniu astrologji, posiłkując się metodami ściśle naukowymi—opartymi na statystyce—otrzymano liczbę 29 — 33 lat. Tyle mianowicie wypadło z obliczeń tak poważnego wielostronnego uczonego, jak J. Majer, b. długoletniego prezesa Akademji Umiejętności.

Rzeczywistość pozornie nawet, jakby potwierdza powyższe wywody. Znany jest naprz., wypadek, że król Jan Kazimierz, potrzebując pieniędzy w czasie wojen kozackich i szwedzkich, na upominek dla chana krymskiego, oddał kupcowi Orseltiemu w zastaw dobra Knyszyńskie (w pow. Białostockim), na 9 pokoleń. Działo się to ok. r. 1650. Licząc po 60 lat na pokolenie, otrzymamy, że w r. 1920 kończy się termin zastawu i rzeczywiście obecny właściciel Knyszyńskich dóbr (zdaje się hr. Raczyński), jest dziewiątym, a więc ostatnim posiadaczem tych dóbr, a po jego zgonie przejdą one z powrotem do skarbu państwa.

Przeczy temu wszakże ta okoliczność, że każdy ze spadkobierców w powyższym przykładzie otrzymał dobra Knyszyńskie nie w wieku niemowlęcym, lecz przeważnie dojrzałym, skut-

kiem czego okres „pokolenia” był w danym razie znacznie krótszy, aniżeli wynosi przeciętne trwanie życia ludzkiego. Potwierdza to w zupełności współczesna statystyka otrzymując jako odpowiedź, na powyższe pytanie całkiem inne cyfry, aniżeli to wypadło przed 50 laty z obliczeń J. Majera.

Ciekawą rzeczą jest stwierdzenie faktu, że przeciętny wiek ludzki np. we Francji jest o 3 — 15 proc. wyższy aniżeli w Polsce. Francja ma zatem w porównaniu z nami ludność stosunkowo starszą, o wysokim przeciętnym wieku żyjących, co jest jednak skutkiem powolnego od wielu lat przyrostu ludności. Zwłaszcza w okresie dziecięcym różnice między Polską a Francją są duże. Nie bez znaczenia są prawdopodobnie lepsze warunki higieniczne, łatwiejsza pomoc lekarska, wogóle — wyższy poziom kultury wśród szerokich warstw ludności Francji aniżeli u nas.

W Niemczech przeciętne trwanie życia ludzkiego również jest większe, aniżeli u nas, prawdopodobnie skutkiem tych samych przyczyn co i we Francji.

W każdym razie, możemy się poszczycić, że żyjemy naogół dłużej aniżeli nasi dziadkowie, gdyż żyjemy przeciętnie lat 45.

^{*)} Ustęp z pracy Adama Chętnika „Z zielonej puszczy”, drukowanej dnia 4.IV.1914 r. w „Ziemi”.